WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"

Nr 41 (211)

Rok V

17 X 1965 r.

WITOLD SZYMCZYK

SZANSA NADAL NIE WYKORZYSTANA

OD STRONY STATYSTYCZNO - SPRAWOZDAWCZEJ wszystko przedstawia się bez zarzutu i niemal imponująco: w województwie rzeszowskim działa 18 regionalnych towarzystw naukowych, kulturalnych, miłośników miast bądź ziem oraz 12 oddziałów towarzystw ogólnokrajowych, co — zważywszy, że liczba członków poszczególnych organizacji waha się od 30 do 200 — daje w sumie pokaźną grupę ludzi zaangażowanych w sprawy swojego terenu. Zaangażowanie to z punktu widzenia statutów towarzystw jest niemal wszechstronne, obejmuje bardzo rozległe dziedziny życia społecznego, niestety, porównanie programów działania z bieżącym dorobkiem każe stwierdzić, że wszechstronność owa pozostaje raczej na papierze. Z całej mnogości towarzystw zaledwie dwa czy trzy starają się realizować wszystkie założenia statutowe, w pozostałych (a rzeczywiście aktywne można policzyć na palcach jednej ręki) działają co najwyżej dwie sekcje.

Niestety, obserwujemy, że nasze towarzystwa regionalne po okresie ożywienia wchodzą w stan pewnej stagnacji, momentami przechodzący w wyraźny kryzys. Dowodem tego jest nie tylko to, że np. w zakresie wydawnictw najciekawsze rzeczy notujemy ostatnio tam, gdzie towarzystwa nie działają — w Sanoku, Jaśle, Gorlicach (a działalność wydawnicza jest obok odczytowej, podstawową dla wielu tych organizacji), ale także martwota pewnych towarzystw, która np. w wypadku Krosna i Ropczyc doprowadziła do ich likwidacji. Nawet tam gdzie obserwujemy najlepsze osiągnięcia spotyka się wypadki rezygnacji z wielu założeń statutowych, zawężanie działalności.

W latach ubiegłych często — i niejednokrotnie słusznie — tłumaczono takie zjawiska brakiem zainteresowania i pomocy ze strony władz, trudnościami, których bez ich poparcia niepodobna było przezwyciężyć. Obecnie jednak argument ten jest w olbrzymiej większości przypadków nieaktualny. W ostatnich latach obserwujemy bowiem żywe kontakty terenowych organów władzy z towarzystwami, finansowanie prowadzonych przez nie badań, a nawet zamawianie pewnych opracowań, jak to miało miejsce w Rzeszowie, pomoc w przydzieleniu i wyposażeniu lokalu, jak to było w Jarosławiu, ponoszenie kosztów wydawnictw, organizowanie wspólnych imprez itp. Swoją wymowę ma również fakt, że jeżeli w roku ubiegłym Wydział Kultury Prez. WRN wydał na potrzeby towarzystw sumę 74 tys. zł, to w roku bieżącym zapreliminowano na nie kwotę 300 tys. zł. (Nie jest to jeszcze zbyt wiele, ale zachodziły obawy, czy i ta suma będzie w pełni wykorzystana, a niektóre towarzystwa wrecz przegapiły możliwość otrzymania dotacji).

A więc nie w braku pomocy i poparcia władz szukać należy przyczyn istniejącego stanu rzeczy. Tkwią one w samych towarzystwach, ich organizacji i metodach działania. Jedną z nich jest styl pracy polegający na aktywności zarządu przy zupełnej bierności tzw. szarych członków, bierności wynikającej z braku propozycji, które stwarzałyby wszystkim stowarzyszonym pole do działania, dawały możliwość udziału w tym co dzieje się w organizacji. Ale jeżeli zebrania ogólne urządza się tylko z okazji wyborów nowego zarządu, trudno mówić o stałym zaangażowaniu wszystkich członków w sprawy towarzystwa.

Nie stwarzają nasze towarzystwa — z jednym czy dwoma wyjątkami — okazji do dyskusji. Organizowane przez nie sesje i sejmiki mają zazwyczaj charakter okolicznościowy, uroczysty, a nie roboczy. Toteż są to imprezy wygładzone, przechodzące bez debaty, podczas gdy wiele ludzi skarży się, że piszą sobie a muzom, nie mając możliwości skonfrontowania swojej pracy z opinią szerszego grona osób. Czy nie można by organizować dyskusji właśnie nad takimi pracami? Czy na forum towarzystw nie powinni próbować sił ludzie stawiający pierwsze kroki, którzy mogliby otrzymać tu pomoc, zachętę i radę?

Jednostronność działalności, zawężanie jej, pomijanie spraw, które mogłyby zainteresować i zaangażować większy zespół ludzi ciążą na rozwoju towarzystw, uniemożliwiają rozszerzenie ich bazy, przyciągnięcie i wychowanie nowych działaczy.

Jedną z najważniejszych przyczyn hamujących wiele poczynań i inicjatyw jest zjawisko dziwnej „splendid isolation", niechęci do wychodzenia poza ramy własnego towarzystwa i współdziałania z innymi. W wyniku tego nawet w sprawach organizacyjnych wszyscy „odkrywają Amerykę" na własną rękę i często stają bezradni w obliczu spraw, które gdzieś już z łatwością rozwiązano.

Dotyczy to szczególnie wydawnictw w zakresie których rządzi przypadek, los szczęścia, a niejednokrotnie spryt. Wiele ciekawych prac przeleżało lata całe nie doczekawszy się publikacji, wiele drukuje się z ogromnym opóźnieniem. Tak było np. z pracą o teatrze przemyskim, po pięciu bodaj dopiero latach przyjętą do druku, tak jest z pracą dra Gottfrieda o Jarosławiu, tyleż lat leżącą w Polskim Towarzystwie Historycznym w Warszawie zrecenzowaną, zatwierdzoną, ale nie wydawaną, bo przecież w stolicy zawsze znajdzie się „coś pilniejszego". Ale o tym, by połączyć wysiłki przynajmniej w tej dziedzinie nikt nie pomyślał, a jeżeli pomyślał, to nie spróbował tego zrealizować.

Problem jest zresztą znacznie szerszy i dotyczy całokształtu działalności towarzystw. Próbowano go rozwiązać w roku ubiegłym, kiedy Wydział Kultury Prez. WRN zwołał sejmik towarzystw regionalnych, na którym usiłowano stworzyć jakieś formy współdziałania i koordynacji pracy. W sejmiku uczestniczył przedstawiciel krakowskiego Oddziału PAN, finansującego działalność niektórych towarzystw. Rolę koordynatora powierzono wówczas Wydziałowi Kultury Prez. WRN, a ponadto postanowiono stworzyć coś w rodzaju rady czy komitetu złożonego z przedstawicieli wszystkich towarzystw, którego zadaniem miało być rozpatrywanie co pewien czas najważniejszych bieżących spraw i ustalanie programów współdziałania.

Niestety, na uchwałach się skończyło. Już po roku niektóre towarzystwa uznały za zbędne nadsyłanie do Rzeszowa choćby rocznych planów pracy, a w owo kolektywne ciało nikt nie tchnął jakoś życia.

Tymczasem za koniecznością realizacji wniosków owego sejmiku przemawiają zarówno teoretyczne przesłanki, jak i konkretne praktyczne potrzeby. Co więcej, mamy przykład na to, że może ona przynieść pożądane rezultaty. Przykładem tym jest Przemyśl, w którym od stycznia br. działa Rada Towarzystw Naukowych i Kulturalnych skupiających kilkanaście organizacji działających na terenie miasta. Rada ta stwarza nie tylko płaszczyznę wymiany informacji i dyskusji, możliwość wspólnego pokonywania trudności, ale ustala także okresowy program działania, na który składają się poczynania wszystkich towarzystw. Program ten opracowuje się na cały miesiąc, unika się nie tylko dublowania i przeszkadzania sobie w pracy, ale skupia wszystkich dla organizacji większych imprez z pożytkiem i dla tych imprez, i dla ich odbiorców.

Okazało się, że tego rodzaju koordynacja nie zagraża bynajmniej samodzielności towarzystw, przeciwnie — daje im okazję do wykazania się swoim dorobkiem na większym forum, uczestniczenia w szerzej zakrojonych akcjach, które w pojedynkę byłyby w ogóle nie do pomyślenia. Doświadczenia przemyskie potwierdzają zatem wnioski ubiegłorocznego sejmiku. Koordynacja poczynań i wzajemny kontakt towarzystw regionalnych stają się nie tylko konieczne, ale i w pełni możliwe.

Trudno w krótkim artykule rozwinąć szerzej problemy, które z powodzeniem mogłyby stać się przedmiotem obszernych badań. Dotyczy to zarówno działalności oświatowej towarzystw, napływu młodych ludzi i wielu innych problemów, które nurtują wielu działaczy regionalnych. Od podjęcia tych spraw, przedyskutowania i znalezienia nowych form działania zależy pełne wykorzystanie stale rosnących szans i podniesienia rangi tego szlachetnego społecznego ruchu.

OD REDAKCJI

Artykuł niniejszy publikujemy, wychodząc z założenia, że poruszenie najbardziej palących spraw może przyczynić się do wywołania dyskusji, która mogłaby znaleźć środki zaradcze przeciwko wielu bolączkom trapiącym organizmy niejednego z naszych towarzystw regionalnych. Dyskusja taka, niewątpliwie toczy się wewnątrz tych organizacji, niemniej jednak, udostępnienie jej fragmentów szerszemu ogółowi, mogłoby mieć pozytywne znaczenie. Dlatego zapraszamy działaczy regionalnych do podzielenia się z nami swoimi uwagami. Będziemy chcieli je także opublikować, bądź — gdybyśmy nie byli w stanie uczynić tego ze wszystkimi — przekazać do rozpatrzenia zainteresowanym czynnikom.

Jeszcze przed otwarciem

W TEATRZE WIELKIM

Dziś jeszcze pełny miesiąc dzieli nas od przekazania do użytku gmachu Teatru Wielkiego w Warszawie. Na ten dzień miłośnicy sztuki i sami artyści czekają od kilku lat.

Bogate, pełne świetności i tragizmu dzieje tego najokazalszego pomnika polskiej architektury neoklasycystycznej są ściśle związane z losami Warszawy. Powstały przed 140 laty według projektu Antonio Corazzi'ego, twórcy wielu stołecznych pałaców i historycznych budowli, przetrwał do 1939 roku. W dniach kampanii wrześniowej los nie uchronił go od zniszczenia. Płomienie strawiły zabytkowe wnętrza. Zabezpieczone w głębokiej konspiracji przed okupantem, w 1944 r. znowu dzieliły los Warszawy. Po upadku powstania wydawało się, że rozbitego kolosa już nic nie uratuje, i resztę niszczycielskiego dzieła dokona hitlerowski plan zrównania Warszawy z ziemią. Stało się inaczej...

Po wyzwoleniu mury zostają zabezpieczone, a w 1950 r. zapada decyzja władz najwyższych odbudowy gmachu Teatru Wielkiego. Rok później rozpoczyna się realizację budowy według projektu prof. Bohdana Pniewskiego, który zwyciężył w konkursie SARP.

Minęły długie lata rekonstrukcji i rozbudowy i oto dom sztuki operowej i baletu otwiera swe podwoje.

Dziś panuje tu już ogromny ruch. Ostatnie szlify otrzymuje wnętrze. Dobiega końca urządzanie Muzeum Teatru. Trwają próby premierowych przedstawień.

Teatr Wielki jest rzeczywiście wielki. To cały kombinat z najnowocześniejszymi urządzeniami. Jego kubatura równa się 2/5 wielkości Pałacu Kultury i Nauki. Rozmachem przewyższył swe starsze siostry, jak Operę Wiedeńską i mediolańską La Scalę...

Sala widowiskowa utrzymana w kolorycie biało-czerwono-złotym może pomieścić 2.000 osób. Robi jednak wrażenie raczej sali kameralnej. To na pewno duża zaleta interesującego rozwiązania wnętrza.

W Teatrze Wielkim oddychać się będzie powietrzem Ogrodu Saskiego. Tak bowiem zainstalowane są urządzenia klimatyzacyjne produkcji szwajcarskiej. Urządzenia świetlne natomiast pochodzą ze Szwecji. I tu chyba warto podać, że łączna długość przewodów elektrycznych ma „tylko" 300 kilometrów, a teatralna elektrownia może zasilić w energię elektryczną małe miasteczko.

Gmach Teatru Wielkiego prócz wszystkich podstawowych pomieszczeń, jak garderoby i sale prób dla artystów, chóru, baletu i orkiestry, posiada sale dla Muzeum Teatralnego o powierzchni 900 m kw., biblioteki oraz dla Studia Operowego, które powstanie przy teatrze. W kolosie tym urządzono kluby i kawiarnie, jest ambulatorium i pogotowie lekarskie, są tarasy wypoczynkowe, mieszczące od 200 do 300 osób. Są dźwigi, które równocześnie mogą rozładować 10 samochodów ciężarowych wprost do magazynów.

Specjalnie omijam wyposażenie tak ważnej części teatru, jaką jest scena, gdyż jej wyposażenie i urządzenia to osobny, piękny rozdział. O rozmachu niech świadczy na razie to, że w zależności od przedstawienia urządzenia sceniczne obsługuje od 50 do 200 pracowników technicznych, przyjmując iż większość manipulacji jest zmechanizowana.

* * *

Zbliżają się uroczystości otwarcia Teatru Wielkiego. Będzie to święto sztuki polskiej, obejmujące imprezy 6 dni. 18 listopada budowniczowie przekażą obiekt Ministrowi Kultury i Sztuki. Następnego dnia w południe odbędzie się uroczysty koncert dla przedstawicieli środowisk kulturalnych z całej Polski, a później otwarcie Muzeum Teatralnego w dwusetną rocznicę istnienia sceny polskiej. Muzeum posiada pamiątki od roku 1765 do dni obecnych.

Główne uroczystości odbędą się 20 listopada. W tym dniu zostanie wystawiona opera Stanisława Moniuszki „Straszny dwór", a w następnych: „Halka" Moniuszki, „Pan Twardowski" Ludomira Różyckiego i „Król Roger" Karola Szymanowskiego.

Na uroczystości polskiej sceny operowej zapowiedziało swój przyjazd wiele osobistości nieomal z całego świata. M. G.

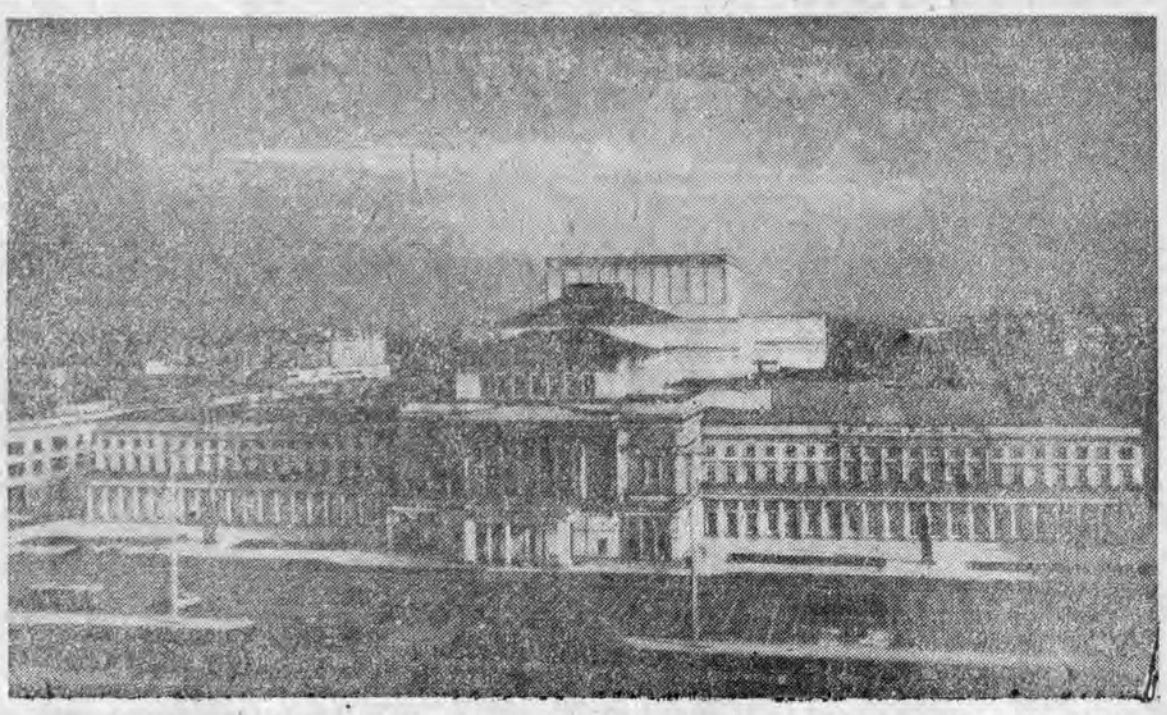

Gmach Teatru Wielkiego w Warszawie swym rozmachem przewyższa Operę Wiedeńską i La Scalę...
Fot. ANDRZEJ ZBORSKI

JAN GRYGIEL

«Cyrograf na własnej skórze»

Przycichły już obecnie dyskusje i spory na temat reportażu. Czym jest, gdzie go zaszeregować — do publicystyki czy literatury pięknej? Czy reporter powinien ustalać tylko fakty i poprzestać na konstatacji, czy też interpretować je i dochodzić do uogólnień? Czy więc reportaż ma stanowić forpocztę dla literatury pięknej i prowadzić dla niej penetrację terenową we współczesności? Czy może jest już gatunkiem literatury pięknej, jak powieść i nowela? Spory przygasły, mimo iż nie doszło do ostatecznej konkluzji, a zaczęto pisać po prostu reportaże. Widocznie nie był to problem istotny. Jeden z wybitnych reporterów oświadczył kiedyś w dyskusji, iż nie rozróżnia reportażu literackiego i dziennikarskiego, lecz reportaże dobre i złe.

Przypominam te sprawy dlatego, że niektóre zbiory reportażu pobudzają do refleksji tego rodzaju, zmuszają mimo wszystko do zastanawiania się, gdzie leży granica między opowiadaniem czy nowelą a reportażem.

Ostatnio w „Iskrach" ukazał się tom reportaży Kazimierza Boska pt. „Cyrograf na własnej skórze". Jest to książkowy debiut młodego, lecz wytrawnego reportera — debiut dojrzały i ambitny. Reportaże, drukowane przedtem w „Kulturze", „Współczesności" i „Argumentach", i już wtedy zwracające uwagę czytelników, obecnie w książce wiele zyskały dzięki starannej selekcji dyktowanej względami na kompozycje zbioru. „Cyrograf na własnej skórze" jest bowiem książką z tezą; książką starannie i umiejętnie skonstruowaną z różnych na pozór reportaży w zwartą i logiczną całość. Część relacji, czy raczej opowieści ma charakter wyraźnie osobisty, autobiograficzny („Drogą z Piekła", „Poletko", „Imię ziemi mojej"). Mówią one o Dobrzechowie koło Strzyżowa — rodzinnej wsi autora — o jego najbliższych krewnych i przyjaciołach — o drodze ojca z „Piekła", czworacznego budynku do własnego murowanego domu i o własnej kamienistej drodze do wiedzy, świata i awansu. Inne reportaże pochodzą również z Rzeszowszczyzny („Czyhanie", „Nobilis", „Wam i waszym bydlętom" i „Wyciąg z aktu rozdrapania") i chociaż nie tak bezpośrednio związane z losem autora, dotyczą spraw i konfliktów, w których wyrósł i które nie są mu obojętne.

Te reporterskie opowieści osnuł Bosek na wspomnieniach o trudnej przeszłości chłopskiej w tradycyjnej biedzie, najpierw galicyjskiej, później Polski „B" — pokazał niemniej trudne dźwiganie przygniętych pleców i relikty z czasów nędzy i głodowania w psychice wsi. Powtarzają się więc motywy budowy domu, jako symbolu innego, nowego życia — trudnej edukacji chłopskiego syna w mieście — walki widłami i łopatami o skrawek ziemi — okrutne i bezlitosne waśnie spadkowe, a obok tego sylwetki młodego pokolenia: inżynierów, lekarzy, urzędników, właścicieli ortalionów i samochodów, lodówek i telewizorów.

Nie ma tu łatwego podziału na „stare" i „nowe". Przeszłość rzutuje na teraźniejszość — zbrodnia i okrucieństwo, fanatyzm i ciemnota często w jednym stają domu z wytrwałą pracą, ofiarnością i ideowym zaangażowaniem. Autor mógłby powiedzieć o sobie cytatem z wiersza J. B. Ożoga — „Urodziłem się chłopem, z tego się nie wyliżę". Zna doskonale wieś i jej skomplikowane sprawy; wnikliwości i dociekliwości reporterskiej pomaga autobiografia. Jest to więc zwarta i jednolita książka o awansie „zająca" i „syna badyla" z czworacznego „Piekła", czyli samego autora — awansie krzyżującym się ściśle i ściśle uwarunkowanym od awansu środowiska, z którego wyszedł, i rzeszowskiej wsi. Nikt tu nie został w tyle — droga Kazimierza Boska — autora i bohatera reportaży szła równolegle do drogi, wiodącej we współczesność całą jego klasę.

Reportaże z „Cyrografu..." nie poprzestają na rejestrowaniu faktów. Autor szuka przyczyn, motywów, pobudek, słowem źródeł wydarzeń. Szuka ich na różnych płaszczyznach, w czasie, przestrzeni — sięga w głąb psychiki chłopskiej. Stąd osobliwa forma artystyczna książki. Gdyby nie to, iż wszystkie wydarzenia, nazwiska i tło topograficzne są autentyczne, że ich akcja zawsze rozgrywa się w określonym czasie i miejscu, można byłoby je zaszeregować do gatunku opowiadań z literatury pięknej. To ciążenie ku literaturze widać także w barwnym potoczystym stylu, w wielu reminiscencjach literackich, w epickim dystansie autora, w toku relacji i wreszcie w świadomej i kunsztownej konstrukcji każdej opowieści.

Dlatego „Cyrograf na własnej skórze" pobudził mnie do wspomnień o sporach na temat literackiego i nieliterackiego reportażu. Ale ja również sądzę, że to nie istotna sprawa. Zbiór Kazimierza Boska daje czytelnikowi gruntowną wiedzę o przemianach wsi w sferze ekonomicznej i psychologicznej, daje również dużo satysfakcji swoimi walorami literackimi i dlatego może stanąć na półce bibliotecznej obok książek Juliana Kawalca, Stanisława Piętaka czy Jana Bolesława Ożoga. Autor bowiem ma wiele do powiedzenia w zakresie tematu wiejskiego w literaturze. Nie jest więc sprawą najważniejszą rozstrzygnięcie wątpliwości — reportaż, czy literatura piękna. Sądzę zresztą, że ta droga pisarska wiedzie do prozy artystycznej.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Prof. dr JERZY SAWICKI

UWAGI O WYROKU OŚWIĘCIMSKIM

I.

Znane są dotychczas szerokiej opinii publicznej tylko ustne motywy wyroku trybunału frankfurckiego z dnia 23 sierpnia 1965 roku oraz wysokość kar wymierzonych w sentencji poszczególnym skazanym. Już na tej podstawie można sobie wyrobić zdanie o sposobie argumentacji sądu i jego osobliwej taktyce. Pod pozorem działania tylko w interesie praworządności i ścisłego przestrzegania zasady o presumpcji niewinności każdego człowieka zasiadającego na ławie oskarżonych zmierza on do uzasadnienia i usprawiedliwienia możliwie daleko posuniętej łagodności i względności w ocenach. Każdy prawnik wie, że nie ma takiej najsłuszniejszej chociażby reguły proceduralnej, której w praktyce nie można by doprowadzić do absurdu. Wydaje się, że do takich absurdalnych granic sprowadzono w sprawie przeciwko członkom załogi oświęcimskiej, oskarżonym o mord z niskich pobudek lub pomoc przy takim zabójstwie w setkach, a nawet tysiącach przypadków „zasadę in dubio pro reo". Dzieje znają nie tylko na tym odcinku rozmyślne paraliżowanie akcji przez do absurdu doprowadzoną zasadę postępowania.

Oczywiście nikt nie domagał się i nie może się domagać od sądu w cywilizowanym państwie przyjęcia koncepcji „domniemania winy". Czyż jednak uwaga wiedeńskiego prawnika, byłego więźnia obozu, rzucona na sali rozpraw w związku z jego zeznaniami, jest naprawdę aż tak bardzo pozbawiona sensu, kiedy chodzi o rozważenie winy funkcjonariuszy zatrudnionych w fabryce, której produkcją zasadniczą było wyłącznie uśmiercanie? „Wydawało się — stwierdził on —nam więźniom, że ślepacze obozowi, którzy ujdą cało po klęsce, będą musieli sędziom wykazywać, że nie oni mordowali. Tak oczywiste było bowiem zadanie im poruczone. Tymczasem dzieje się odwrotnie, my sądom drobiazgowo musimy wyliczyć każdy zadany przez nich cios i każdą obelgę".

Nie ulega jednak wątpliwości, że wyabsolutyzowanie zasady domniemania niewinności, przyjęcie jej w oderwaniu całkowitym od wszelkich, nawet wyjątkowych okoliczności, przemawiających przeciwko oskarżonym i z uwagi na znane wszystkim funkcje, które świadomie pełnili, stosowanie jej doprowadzone rozmyślnie do **paradoksalnego perfekcjonizmu** może prowadzić do parodii stosowania pożytecznej reguły i do oczywistych niesprawiedliwości. A podobną taktykę wbrew zdrowemu rozsądkowi wybrał sąd w tej tragicznej sprawie będącej odzwierciedleniem całej epoki historycznej, epoki pieców krematoryjnych.

II.

Znamy wszelkie jurydyczne pomosty, które judykatura w NRF konstruowała od lat dla ochrony zbrodniarzy hitlerowskich lub złagodzenia ich losu, dla umożliwienia im wyjścia na wolność.

Jakże często i łatwo przyjmowały sądy działanie „pod wpływem rozkazu" lub „w sytuacji przymusowej", w której znajdowali się rzekomo poszczególni sprawcy. Ustalenie, że oskarżeni działali zgodnie z obowiązującym w państwie hitlerowskim prawem, było dość częste. Jeśli zaś pewne wycinki hitlerowskiego ustawodawstwa musiano uznać za nie mogące wiązać sprawców, to jakże często stwierdzano, że działali oni „w błędnym, nie dającym się uniknąć przekonaniu, iż zachowanie ich jest zgodne z prawem".

Istnieją wyroki sądów w NRF, w których przyjęto, że sprawcy na wysokich stanowiskach działali w „stanie konieczności", bojąc się nie wykonywać rozkazów, które ich wiązały (Befehlsnotstand).

Wszystkie te konstrukcje odrzucił jednak sąd frankfurcki. Były tu nie do przyjęcia. Na tle sprawy oświęcimskiej ich sztuczność byłaby zbyt oczywista.

Sięgnięto więc do taktyki bardziej subtelnej i bardziej zręcznej. Sąd wybrał inną drogę. Sąd uznał, że właśnie ten proces, którego tłem są miliony ofiar zamęczonych i zagazowanych, w stworzonej w tym celu fabryce śmierci, której pracownikami najrozmaitszych stopni do zastępców dyrektorów włącznie, byli oskarżeni, winien przejść do historii jako przykład krytycznego, ostrożnego i sceptycznego ustosunkowania się do każdego szczegółu zawartego w zeznaniach świadków.

Sąd uważał za stosowne właśnie w tym procesie dotyczącym wyrafinowanego mordu, gdzie usuwano wszelkie ślady czynu łącznie z ziemskimi resztkami ofiar, ubolewać nad tym, że musi rozpatrywać problem odpowiedzialności za czyny, „nie dysponując dostateczną ilością dokumentów, ani protokołem obdukcji zwłok, ani opinią znawców o przyczynach śmierci poszczególnych ofiar, ani dokładnymi datami popełnienia czynu". W innych sprawach, kiedy sądzi się sprawcę o mord, sąd rozporządza — żalił się przewodniczący trybunału — bronią, którą zadano cios, odciskami palców z rąk lub śladami nóg zabójcy, który wdarł się do domu zamordowanego oraz wieloma innymi szczegółami, z których można ponad wszelką wątpliwość wnioskować, jaki określony przestępca zadał określony cios. Podczas kiedy w tym procesie sąd zdany był wyłącznie na zawodne tak często wyjaśnienia i to w dodatku świadków pokrzywdzonych. Nie zabrakło też w wyroku powołania się na doświadczenia kryminologiczne o niepewności pamięci świadczących w sądzie ludzi, a jeszcze bardziej ludzi pokrzywdzonych w roli świadków.

III.

Świadectwo historii, przemyślany system mordu, któremu oskarżeni służyli, ślady miejsca tortur i narzędzi mordu miały dla sądu o wiele mniejsze znaczenie. Wedle tej taktyki doprowadzona też została do absurdu zasada rachunkowej dokładności przy obliczaniu ilości ofiar. Zasada ta służąc rzekomo ścisłości i wyrównawczej matematycznej sprawiedliwości, na której straży stał sąd, stała się w istocie zaprzeczeniem poczucia słuszności i negacją sprawiedliwości. Czyż naprawdę stanowi bardzo wielką różnicę dla sędziowskiego wymiaru kary fakt, ile zdołano udowodnić mordów komuś w notorycznych warunkach obozu niszczycielskiego? Czy 70 morderstw, czy 700, czy 7000? Ta taktyka sądu, kładąca tak wielki nacisk w uzasadnieniu na buhalteryjną ścisłość obrachunkową, jest jedynie pretek-

(Ciąg dalszy na str. 4)

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

ŚPIEWOGRA NA JUBILEUSZ

Gdyby za „Henrykiem VI na łowach" nie kryło się nazwisko Wojciecha Bogusławskiego, leżałaby sobie ta komedya z III długich aktów skonstruowana w lamusie dramatów zapomnianych, ba, może i miałabym odwagę powiedzieć — niedobrych, nieoryginalnych. Specyfika czasów, które wydały ojca sceny narodowej i konkretny cel, jaki przyświecał piszącemu aktorowi uświęcił środki warsztatu dramaturga; i na tym można by spokojnie poprzestać przy wyjaśnianiu motywów, którymi powodował się teatr, wystawiając dziś „Henryka VI" na dwusetny jubileusz teatru.

Można by, ale jednostronne oceny zawsze w efekcie zawężają możliwość teatru, a w tym wypadku byłoby to zabiegiem co najmniej krzywdzącym. Bowiem śpiewogra Bogusławskiego na scenie im. Wandy Siemaszkowej zawiera w sobie elementy teatru par excellence nowoczesnego, gdzie ów zupełnie widocznie skorzystał z prawa nadania sztuce własnego kształtu. I okazało się, że łowy są zabawne, że z dowcipem czas obszedł się łaskawie, pozostawiając mu co celniejsze pointy nietknięte, a nawet wyostrzające je aluzjami do współczesności, że dobry i szanowany król nie jest ani tak dobry i mądry, by zasługiwać na szacunek, ale sympatyczny, co ten szacunek by trochę uzasadniało i tłumaczyło, że wreszcie cnota i występek wcale jednoznacznymi pojęciami moralnymi być nie muszą, a w końcu to „odkrycie" zwykło się uważać za dominantę filozoficzną współczesnego dramatu. W tej sytuacji teatrowi zapalam świeczkę, pozostawiając autorowi kontentowanie się ogarkiem; bo według sprawiedliwości przede wszystkim teatru to zasługa, że opuszczamy go zadowoleni z zabawy, jaką nam zaproponował. Gdyby tak jeszcze propozycję przeprowadził bardziej konsekwentnie, pomysł dopracował — zabawa mogłaby być wyśmienita. I tu się chyba warto zastanowić, czemu dobrze skrojony spektakl przyniósł niedoskonałe wykończenie szczegółu, pewien niedosyt artystycznego kształtu w ostatecznym rozrachunku. Co, z góry się zastrzegam, nie przekreśla zabawy, lecz czyni ją tylko mniej wyborną...

Z sentymentalnej komedii nieporozumień, gdzie król przez większą część akcji jest podejrzanym pankiem zagubionym w lasach, gdzie uwiedziona, ale cnotliwa dziewica wraca do tęskniącego kochanka, gdzie uczciwy strażnik królewskich lasów broni nietykalności swego domu i honoru króla, nic serio nie pozostało. Zamysł reżyserski Danuty Bleicherówny przyodział widowisko w ironiczną nutę dystansu do sztuki, w przymrużenie oka, w kpiarskie szarganie świętości, z których wynika nowa zabawa, nowe nieporozumienia, ale już natury moralnej, nie sytuacyjnej. Sztuka zabarwia się odrobiną drapieżności, ckliwy romans nabiera cech autentycznej satyry, a uczciwy, wojowniczy Kokl — tak przerażająco pozytywny od początku, excusez le mot, wychodzi trochę na barana, który za lat kilka oszlifuje język i obyczaje, by w dworskim stażu zapomnieć onegdaj głoszonych racji. W sumie: cnota wynagrodzona, występek ukarany (tyle że polecą batogi na chłopskie grzbiety), król ma przygotowanego zwierza do odstrzału i... światek potoczy się dalej, z wolterowskim uprawianiem ogródka — i innymi takimi tam drobiazgami; tyle że już skompromitowanymi. I właśnie w tej kompromitacji, cieniutkiej, ledwie narysowanej, w słabości bohatera pozytywnego, który raził przeciwnika odwagą, a później sflaczał moralnie, nieoporny na godności i przywileje sypiące mu się na kark, w tym wielkim zadowoleniu wszystkich z wszystkiego, do którego nas reżyserka przygotowała od pierwszej sceny, w powszechnym przebaczaniu, niezauważaniu wręcz występku byłaby niezaprzeczona siła jej pomysłu, gdyby... Gdyby Kokl — Zdzisława Kozienia nie był z innego spektaklu. W sposób absolutnie widoczny „odstawał" od ogólnej konwencji; swego bohatera grał serio, z całym nagromadzeniem środków realistycznego przekazu, bez odrobiny bodaj autoironii. Że robił to sugestywnie — rzecz inna, choć momentami wciągał w ten niebezpieczny zaułek samego króla — Bogdana Kiziukiewicza, narzucając mu własny styl gry. Kiziukiewicz miał jednak tę przewagę, że przejmując się partnerem, w porę umiał powrócić do ram, zakreślonych mu przez ogólną koncepcję reżyserską. Partnerowała mu przytym z wdziękiem Jadwiga Ulatowska, która z podstarzałej Małgosi zrobiła przymilną flirciarę, roztaczając „kobiecości gamę całą", co to tak rozmarzyła Boya, podglądającego spacer pensjonarek. Tyle, że tu już rysowało się „to i owo" nie pod kapotką granatową...

Wracając do Kokla — Kozienia: nie wiem na ile w tym winy aktora; Danuta Bleicherówna — autorka interesującego przedstawienia, nie mogła przecież nie zauważyć, jak bardzo wymyka się ta postać z rygorów przez nią narzuconych, jak emploi, którym posłużył się Kozień, rozsadza swoim witalnym realizmem ramy, w jakich osadziła tę drwiącą bajeczkę z morałem.

Nazwałam „Henryka VI na łowach", śpiewogrą. Dużo tu bowiem muzyki, skomponowanej przez Karola Stromengera i śpiewu, w którym strona wokalna ustąpić musi interpretacji aktorskiej. Na ogół nieźle z tej trudnej roli wybrnęli aktorzy. Nie wszyscy jednak uporali się z kompromisem, gdzie głos miły, gest wdzięczny i znowu owa delikatna ironia oraz dystans wobec tekstu współgrałyby z sobą idealnie. Najbliższy może tym wymogom w śpiewogrze był Zdzisław Sikora, jako sielankowy amant; przewrotnie łzy ocierał, śpiewał o duszy, a szukał w Betsy zupełnie konkretnej kobiecości (zresztą, a propos tej ostatniej, przedstawienie miało w sobie sporo elementów jurnej komedii plebejskiej, co na pewno przydało ckliwej opowiastce zdrowego humoru).

Była w „Henryku" poza tym jedna scena, którą między najświetniejsze kładę: śpiewogra trzech milordów — Czarnowskiego, Jachowicza i Mancewicza. Opracowana w najdrobniejszych szczegółach, komiczna, a jednocześnie wyjaśniająca może najdokładniej sens tej zabawy, zamysł reżyserski. Trzy niezdary, pozornie pętające się na marginesie konfliktu, uosabiały sobą indolencję reżimu i zmurszałą konstrukcję monarchii, całą tą marionetkową sceną przypominając, że autor pisał sztukę 3 lata po wybuchu Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Myślę, że właśnie w tej trójce aktorów Bleicherówna znalazła najwierniejszych odtwórców swojej koncepcji. W podobnej konwencji utrzymał się także Włodzimierz Kaniowski; że z powodzeniem, dodaję tylko dla porządku, bo i jakże może nie powieść się to, co zadecydowało o powodzeniu całego przedstawienia? Pretensje można mieć tylko do tych, którzy czy to z winy własnej, czy przez niedopatrzenie reżysera rolę przerysowali, przemycili do

JERZY WALAWSKI

SZUKAM DUCHA

Plakat obwieszcza wszystkim zainteresowanym: „Egzotyczne trio po sukcesach w Berlinie, Budapeszcie, Moskwie i Helsinkach zaprezentuje gorące rytmy mieszkańcom Sarzyny".

Pachanga, huapango, merenque, bala , guan... (przepraszam!) guaganco, ranchera i w ogóle cha, cha, cha. Piosenki meksykańskie i kubańskie. To ma swoją wymowę. Z plakatu uśmiecha się południowa dziewczyna i dwaj usombrzerzeni panowie. Kostiumy według „paryskich wzorów", bilety wstępu à 25 zł sztuka, w sali widowiskowej zakładowego Domu Kultury 500 miejsc — duża radość.

Zaproszono mnie na występ, moi sąsiedzi otrzymali karteczkę z poważnym ostrzeżeniem: „Uwaga! Reporter „Nowin Rzeszowskich" (przeczytałem to zezując potężnie w stronę sąsiada z lewej). Przysięgam — nie miałem zamiaru nikogo ugryźć w ucho, nikogo uszczypnąć, ani napisać o kimś, że ma brodawkę wielkości truskawki na nosie. Znalazłem się na tej sali, znalazłem się w Sarzynie ze ściśle określonym zamiarem — szukałem modelu kulturalnego osiedla, szukałem ducha osiedla. Nieprostą sprawą jest znalezienie ducha w naszych aż nazbyt racjonalistycznych czasach, a z modelami też różnie bywa. Częściej natomiast trafiają się duszki, na przykład — Duszek Nadmiernej Ostrożności, Duszek Wszystko w Porządku, Duszek Dziękuję w Domu Zdrowi, Duszek Na Wszelki Wypadek Polakierujmy i innych jeszcze duszków do jasnej pachangi.

Szukałem ducha. Konferansjer podpierał się fizjologią stosowaną, trio śpiewało w obcych językach na wszelki wypadek, żonglerom padało na ziemię to, co miało fruwać w powietrzu. Na scenę usiłowała się przedostać mysz, malutka myszka miała zapewne zamiar przegryźć kabel od mikrofonu, żeby uchronić przynajmniej dalsze rzędy publiczności przed... egzotyką. Mysz estetka, albo duch, który z konieczności stał się myszą? Może rozstrzygnąłby tę kwestię jakiś metafizyk, ale obok mnie siedziała instruktorka Domu Kultury, a po lewicy prezes Spółdzielni. Obie instytucje duchami jak wiadomo się nie zajmują.

Konferansjer dwoił się i troił. Na oczach publiczności zamordował Zoszczenkę, z kolei rozpoczął popis wokalny, czyli „Ogólnowojskową piosenkę z okolic... Sarzyny", która miała wielce zabawny refren „sru tu tu tu". Zrozumiałem co znaczy „tu tu tu", po dłuższym zastanowieniu zgłębiłem tajemnicę „sru", ale po naszemu w słowie tym powinno być „a" i na ogół nie używa się go w piosenkach śpiewanych na scenie. Jeżeli zespół był rzeczywiście za granicą, to trzeba stwierdzić z przykrością, że nasz eksport rozrywkowy, to prawdziwe „guaganco"!!!

Koniec występu. Pani instruktor otarła pot z czoła, pan prezes z wielce tajemniczą miną ruszył do wyjścia. Reporter zaaplikował sobie rozmowę z kierownikiem Zakładowego Domu Kultury, ale już nie na temat występu. Rozmawialiśmy o domu kultury, o Sarzynie, o pracy działacza kulturalnego. ZDK nie jest w najlepszej sytuacji etatowej — zaledwie pięciu pracowników, a w praktyce trzech. Są jeszcze instruktorzy godzinowi, ale od nich nie można wymagać niczego więcej poza ściśle określoną pracą w zespołach amatorskich i kółkach zainteresowań. Niełatwo zresztą zdobyć nawet takich instruktorów. Mieszkańcy Sarzyny dopominają się o rytmikę dla dzieci, o kursy języków obcych... wykładowców brak. Działa zespół muzyczny, zespół żywego słowa, zespół taneczny. Jest na miejscu biblioteka, opodal klub z małą scenką, w którym organizuje się wieczorki towarzyskie... Kto to mi jeszcze mówił o tych wieczorkach? Acha, pani instruktor. Ludzie podobno bawią się doskonale, kulturalnie, spokojnie, nie tak jak dawniej, kiedy trwały jeszcze antagonizmy pomiędzy osiedlem a okolicznymi wsiami i nierzadko dochodziło do bijatyki. W tej chwili w Sarzynie jest spokojnie, chyba że „Gazobudowa" uderzy w gaz i ociupinkę porozrabia, czasem i miejscowi pogazują na konto „gazobudowy", bo nie każdy w końcu zajmuje się hodowlą różyczek, filatelistyką i łowieniem ryb. Spokojnie... kiedy po rozmowie z kierownikiem wychodzę z domu kultury, ogarnia mnie szum lasu, zapach żywicy, pod nogami czuję piach. Jest zaledwie dziewiąta wieczór, a osiedlowe uliczki puste są, wymarłe niczym w środku nocy. Tylko z okien bloków sączy się fosforyzująca poświata telewizyjnych ekranów. Sporo telewizorów jest w Sarzynie, na 650 rodzin zamieszkałych w osiedlu około 180 aparatów. Grupa telewidzów wzrasta dość szybko, przy telewizji przyjmuje się gości, zjada kolację, spełnia się cały szereg innych funkcji nie wymagających większego skupienia. Chwalą sobie ponoć telewizję małomówni zakochani, najwdzięczniejsi odbiorcy co nudniejszych programów.

Hotelik pracowniczy, w którym nocuje jest schludny, z wygodnymi tapczanikami. Pani z recepcji uprzejma i sympatyczna. Poinformowano mnie, że jest żoną personalnego zakładów, ale nie zamierzam przenieść się do Sarzyny, więc komplement jest bezinteresowny.

Śpię mocno, bez majaków, mimo że chciałem wyśnić sarzyńskiego ducha — nie udało się, niestety. Na drugi dzień wyruszam na jego poszukiwanie w stronę zakładów, ale przedtem wstępuję na śniadanie. Zamawiam jajecznicę z dwóch jaj, dostaję porcję chyba trzykrotnie większą — widać, że i tutaj rządzi Duszek Ostrożności Na Wszelki Wypadek, albo kury znoszą strusie jaja. Wiem skąd się wzięła ta ogromna porcja jajecznicy, byłem tutaj wczoraj i odpowiedziano mi, że brakło herbaty, ale pani instruktor poszła do kuchni i herbata się znalazła. A przedtem jeszcze nieopatrznie powiedziałem do kogoś, że schaboszczak" w restauracji był przy kości coś nie tęgo. A teraz mam za karę strusie jaja, które smakują jak kurze, ale czuję się za to osaczony uprzejmością nadmierną, na wyrost, a kelnerka z nabożeństwem odnosi mi 10-groszową resztę. Irytuje mnie ten klimacik, bo zdaję sobie sprawę, że cały personel stołówki czeka z utęsknieniem, żebym się wyniósł jak najprędzej, a *nuż coś tam podpatrzę, coś zobaczę i „opiszę"*. Pożeram czym prędzej jajecznicę, parzę sobie gorącym mlekiem wargi i uciekam.

* * *

Gabinet naczelnego inżyniera zakładów. Słucham cierpliwie wykładu na temat osiągnięć produkcyjnych — padają fachowe terminy, wzory chemiczne, wskaźniki, procenty... wreszcie decyduję się zapytać, dlaczego tak często zmienia się w zakładzie personel inżynieryjno - techniczny. Inżynier wyjaśnia: „...wpływają na to przede wszystkim warunki rodzinne, ci, którzy chcą kształcić dzieci muszą się przenieść do większych ośrodków. W Sarzynie brak na przykład liceum ogólnokształcącego. Są jeszcze inni, tacy, którzy i gdzie indziej nie zagrzeją miejsca, na szczęście nie ma ich wielu. A w końcu trzeba się pogodzić z tym, że inne zakłady chemiczne, Płock na przykład lub Puławy, też potrzebują fachowców".

Przejście do innego tematu, inżynier jest teraz tylko mieszkańcem Sarzyny, przedstawicielem inteligencji technicznej, obserwatorem: „...ludzie zajmują się ogródkami działkowymi, jedni hodują warzywa, inni róże, jest grupa rybaków, myśliwych, brydżystów. Życie ustabilizowane, spokojne, niezły poziom materialny".

Ubolewanie z powodu małej aktywności klubu NOT. Dyskretne spojrzenie na zegarek. Dyskrecję cenię sobie wielce. Delegację opieczętuje mi sekretarka.

Veni spiritus znaczy przybądź duchu, a nie „bez wódki nie razbierosz" — a ja dalej nie natrafiłem na ślad ducha. Modelik małej stabilizacji, z małymi perturbacjami rysuje się coraz wyraźniej, ale mój stosunek do niego jest niezbyt wyraźny, niesprecyzowany. Dowiem się jeszcze, że ludzie kupują meble i lodówki, a obroty w sarzyńskich sklepach w 1965 roku wyniosły 45 milionów złotych, z tego około 60 proc. przypada na samo osiedle (reszta na okoliczne wsie), że wieś kupuje przedmioty praktyczne, więc maszyny do szycia, pralki, szafy i tapczany, a osiedle — telewizory, adaptery, motorowery, motocykle i wersalki, czyli sprzęt rozrywkom służący. Czegoż jeszcze się dowiem w Sarzynie — acha, żeby przez tory nie iść, bo strażnicy kolejowi łapią i mandatami obdarzają tych, którzy do stacji krótszą drogą chcą się dostać.

Wstąpię jeszcze do szkoły. Kierownika nie będzie. Jedna z pań nauczycielek zada mi pytanie czy znałem dziennikarza X.? Odpowiem, że nie. Usłyszę, że był sympatyczny, odwiedził Sarzynę, ale już umarł.

Zostanę z kolei zapytany o inspektora Y. Też był sympatyczny, wizytował szkołę w Sarzynie i też umarł.

Na wszelki wypadek nie wymienię pani nauczycielce swojego nazwiska — do trzech razy sztuka! Nie mam ochoty sam się zdematerializować.

ROMAN WERFEL

Ideowi antenaci króla Konstantyna

„Chociaż monarchia grecka liczy tylko 132 lata — pisze znany historyk angielski, prof. Arnold Toynbee — już po raz piąty korona staje przeciwko ludowi; w każdym z poprzednich czterech bieg wypadków był identyczny".

Nowoczesna Grecja zrodziła się z walk jej narodu przeciwko potędze Ottomańskiej Porty. Walki prowadzonej przez różne siły — przez „fanariotów", obszarniczą arystokrację, przez młodą burżuazję, zwłaszcza handlowych miast portowych, i przez masy chłopskie, zwłaszcza górskich okręgów Peloponezu.

Po proklamowaniu — w lutym 1830 r. — niepodległości Grecji, między tymi siłami rozpoczęła się walka o władzę w wyzwolonym kraju. Do walki wmieszały się obce mocarstwa — Anglia, Francja, carska Rosja — dla których Grecja była jedną z pozycji w zmaganiach o spadek po rozkładającym się państwie tureckich sułtanów. Narzędziem tych mocarstw byli władcy — z reguły obcy — narzucani Atenom i przepędzani dosyć systematycznie przez lud grecki.

Pierwszym był Otto Wittelsbach, z dynastji królów bawarskich, popierany przede wszystkim przez Francję. Władza „młodego bawarskiego idioty", — jak pisał o nim kiedyś — Karol Marks — trwała 30 lat, przeżyła jedną rewolucję (Otto okupił się wtedy, odsyłając do Vaterlandu „bawarską klikę" swych najbliższych doradców i oficerów), by wreszcie paść w roku 1862 pod ciosami chłopskich powstań i buntu ateńskiego garnizonu wojskowego.

Drugim był Konstantyn I, dziadek obecnego króla, z duńskiej — ale niemieckiego pochodzenia — dynastii Glucksburgów. Tego obalono dwa razy: raz w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy stronnictwo narodowej burżuazji — republikanie Venizelosa — przeciwstawiło się jego zamiarom udziału w wojnie po stronie wilhelmowskich Niemiec, drugi raz w roku 1922, gdy przywrócony do władzy przez czynniki wsteczne, zaplątał się w katastrofalnej dla Grecji wojnie w Azji Mniejszej.

Trzecim był syn Konstantyna, Jerzy II. Ten dwukrotnie tracił tron. Naród grecki obalił go w roku 1924, dając w parlamencie większość republikanom. Młoda republika, pod przewodem Papanastasiu, przeprowadziła reformę rolną (obszarnikom pozostała połowa dawniej przez nich posiadanej ziemi), próbowała szukać jakiejś drogi postępu dla Grecji. Wpływy mocarstw, potężne zwłaszcza w armii, szybko sparaliżowały te wysiłki. Po długiej kolejce generalskich dyktatur i półdyktatur — gen. Kondylis, ongiś przeciwnik monarchii (a niezmiennie przyjaciel Anglii), utorował w roku 1935 Jerzemu II drogę powrotu na tron.

Ten powołał w roku 1936 na premiera gen. Metaksaka, który rozpędził parlament i wprowadził w Grecji jawną dyktaturę wojskową faszytowskiego typu.

Nie uchroniło go to od ataku Włoch i Niemiec w roku 1940. Grecja została okupowana. Jerzy II udał się na emigrację do Kairu.

Naród grecki prowadził bohaterską walkę partyzancką przeciwko najazdowi; nawet angielskie źródła przyznają, że miała ona poważny wpływ na ostateczne powodzenie kampanii sojuszników przeciwko Niemcom w Afryce Północnej. W toku tej walki powstawały organa nowego, demokratycznego państwa, w którym nie byłoby miejsca ani dla wstecznictwa, ani dla monarchii. Król zajmował się w Kairze formowaniem gwardii, która pozwoliłaby mu wrócić na tron. Wtedy to powstał „Święty Sojusz Oficerów Greckich" (w skrócie I.D.E.A.) — reakcyjna mafia oficerska, rządząca po dziś dzień siłami zbrojnymi kraju i poprzez wojsko decydująca o jego rządach (to za próbę przeciwstawienia się potędze I.D.E.A. Papandreu musiał ustąpić ze stanowiska premiera).

Ale nie I.D.E.A. sprawiła, że Jerzy II wrócił zwycięsko do Aten. Ostatecznie władzę jego narzuciły narodowi w długotrwałej wojnie domowej głównie siły brytyjskie; w roku 1947 Anglii przyszły z pomocą Stany Zjednoczone. Monarchia Glucksburgów została podmurowana przez „doktrynę Trumana".

Jerzy II popierał siły najbardziej wsteczne. Bez niego trudno byłoby utrzymać się przy władzy przez długi czas jawnemu faszyście Karamanlisowi. Ale kiedy król zdał sobie sprawę, że terror Karamanlisa przestaje być skuteczny, pozbył się go, powołał „neutralny" rząd dla przeprowadzenia wyborów, w których odniósł zwycięstwo Papandreu.

Jerzy II nie chciał iść na wygnanie po raz trzeci. Powołał więc Papandreu na premiera.

Konstantyn II sięga znowu do tradycji Ottona I czy prowilhelmowskiej polityki Jerzego II, z początków jego panowania. Mocny poparciem generalicji i obcych mocarstw — tym razem przede wszystkim USA, której ambasada i wywiad były bezpośrednio zaangażowane w „królewskim zamachu stanu" — usiłuje zablokować drogę najskromniejszym choćby reformom politycznym i społecznym, chce utrzymać w swym ręku wyłączną decyzję w sprawach państwowych.

Częściowo przekupstwem, częściowo pochlebstwami, częściowo groźbami udało mu się uzyskać na to zgodę — minimalnej zresztą — większości parlamentu. Czy jednak na długo?

Bardzo daleki od socjalizmu prof. Toynbee pisze: „Chociaż w chwili obecnej polityczna przyszłość Grecji wydaje się niepewna, można śmiało przepowiedzieć, że wcześniej czy później naród grecki zrealizuje swój postulat, aby być gospodarzem we własnym domu. Ktokolwiek zaprzecza mu tego prawa — czyni to na własne ryzyko".

W obronie Ionesco

„W niektórych kręgach naszego świata kulturalnego twórczość Eugene Ionesco okrzyknięto jako „sztukę absurdu". Z tego to zapewne powodu ani jeden jego dramat nie został w Związku Radzieckim przetłumaczony, ani też oczywiście wystawiony" — pisze w sierpniowym numerze „Nowego Mira" A. Anikst na marginesie interesującej analizy „Nosorożca". Przedstawienie to obejrzał autor w Nowym Jorku. — „Nie podzielam zastrzeżeń moich kolegów po piórze w odniesieniu do twórczości Ionesco, który — noja bene wystawiany jest na całym świecie, również i w krajach socjalistycznych, a między innymi w Polsce, Czechosłowacji i w kraju rodzinnym pisarza — Rumunii. Ponadto nie sądzę, ażeby eksperymentalizm w sztuce miał zaszkodzić realizmowi — pisze dalej A. Anikst. Kiedy stykam się z utworami tego rodzaju, przypominają mi się słowa Lenina, które wypowiedział w rozmowie z Gorkim na temat ekscentryzmu jako specyficznej odmiany sztuki teatralnej: „Jest w tym jakiś satyryczny albo sceptyczny stosunek do utartych pojęć, jest również dążenie do odwrócenia ich i pewnego zniekształcenia. Chodzi tu także o wykazanie alogiczności truizmów. Pomysłowe to i — ciekawe". (KT-PAP)

niej denerwujące schematy banalnych sylwetek; pretensje można mieć i do Danuty Bleicherówny za powolne tempo niektórych scen, za te choć drobne, lecz liczne spadki napięć po najlepszych sekwencjach, za zbyt wolno mówiony tekst, który też na dynamikę przedstawienia pozytywnie nie wpływał.

Poza tym Janusz Warpechowski pokazał nam naprawdę interesującą scenografię, podporządkowaną idei spektaklu, a jednocześnie dającą podparcie aktorowi i czasem (czego wcale nie uważam za złe) dominującą nad nim. Wszystkie pirotechniczne akcje, ogromna rola świstla i dźwięku, sprawnie działający magnetofon — to wcale nie bagatelna w „Henryku" strona techniczna, o dziwo, sprawowała się bez zarzutu. Natomiast zupełnie nie wiem komu zawdzięczać palący się kalosz, który smrodliwie towarzyszył spotkaniu Kokin z Królem. I jeśli to kunsztownie ułożone z drewek ognisko i snujący się dymek wydumał Warpechowski, to i on umowną scenografię zeszpecił szczegółem z innego świata. Świata niepotrzebnych realiów.

Teatr im. W. Siemaszkowej: Wojciech Bogusławski — „Henryk VI na łowach". Reżyseria: Danuta Bleicherówna. Scenografia: Janusz Warpechowski. Muzyka: Karol Stromenger. Kierownictwo muzyczne: Tadeusz Chachaj. Współpraca choreograficzna: Alicja Reniewicz. As. reż.: Włodzimierz Kaniowski. Osoby: K. Kiziukiewicz, W. Zawirski, T. Czarnowski, W. Mancewicz, J. Jachowicz, W. Kaniowski, Z. Kozień, J. Ulatowska, I. Chudzikówna, W. Trojanowski, E. Apa.

„Henryk VI na łowach": Bogdan Kiziukiewicz (Henryk VI), Jadwiga Ulatowska (Małgorzata).
Fot. JERZY OLMA

W nowym numerze WPH

PRZEMYŚL 1939

Cechą współczesnego czytelnictwa w Polsce jest ogromne zainteresowanie literaturą odnoszącą się do dziejów II wojny światowej. Każda bibliotekarka i każdy księgarz mogą o tym wiele powiedzieć. Czytelników pasjonują popularne opracowania historyczne, wspomnienia, pamiętniki, powieści. Jedni chcą przypomnieć sobie tamte dni grozy, inni młodsi chcą wiedzieć —jak było?

Ogromną zasługę w relacjonowaniu i wyjaśnianiu zagadnień II wojny światowej ma kwartalnik „Wojskowy Przegląd Historyczny" — pismo popularne zarówno wśród naukowców jak i zwykłych obywateli interesujących się sprawami ostatniej wojny światowej, przebiegiem wyzwolenia Polski, walkami ludowego WP itp. Pismo to, przynosząc zawsze bogaty wybór różnorodnych materiałów, dość często zamieszcza artykuły na temat działań wojennych przebiegających na terenie Rzeszowszczyzny. Właśnie w WPH ukazały się wspomnienia generała Skibińskiego o walkach 10 brygady kawalerii w 1939, które weszły później do książki „Pierwsza pancerna", tu drukowano pracę gen. Prugara-Keplinga o 11 Karpackiej Dywizji Piechoty oraz wiele innych artykułów na podobne tematy.

W 3 numerze z bieżącego roku znajdujemy kolejną pozycję dotyczącą naszego terenu. Zasługuje ona na podkreślenie tym bardziej że autor jej mieszka i pracuje w naszym województwie — konkretnie w Przemyślu. Jest to artykuł „Walki w rejonie Przemyśla we wrześniu 1939" napisany przez mgr Ryszarda Daleckiego.

W dniach 13 i 14 września 1939 r. kiedy całe dzisiejsze województwo rzeszowskie zalane było przez żołdactwo w szaro-zielonych mundurach, kiedy kolumny hitlerowskie dotarły już do przedmieść Lwowa, a na północy podeszły pod Sokal i Hrubieszów, na linii Rzeszów — Lwów utworzył się wąski pas ziemi, na której znajdowały się jeszcze 3 polskie dywizje piechoty oraz kilka różnych batalionów. Ten wolny jeszcze pas zaczynał się w Przemyślu i kończył pod Gródkiem Jagiellońskim, gdzie już byli Niemcy.

Przemyśl pozostawał miastem niemal bezbronnym, bowiem owe 3 dywizje nie stanowiły jego załogi, lecz znajdowały się w marszu, którego celem było przyjście z pomocą Lwowowi, na prędce zaś organizowana obrona miasta nad Sanem liczyła 7 batalionów piechoty i około tuzina plutonów artylerii. A jednak w nierównej walce żołnierze ci stawili tak zdeterminowany opór, że hitlerowcy w komunikatach i relacjach o zajęciu miasta pisali o „twierdzy Przemyśl" i pięciu (!) polskich dywizjach, które rzekomo jej broniły.

Ryszard Dalecki, opisując szczegółowo przebieg walk o miasto nie ogranicza się tylko do Przemyśla. Wprowadzeniem do tego opisu jest przedstawienie ogólne ówczesnej sytuacji na terenie dzisiejszej Rzeszowszczyzny ruchów wojsk polskich i niemieckich, z uwzględnieniem walk na przedpolach miasta.

Praca oparta o liczne źródła krajowe i zagraniczne oraz zebrane przez autora relacje uczestników walk uderza zwięzłością, rzeczowością, ograniczeniem się do przedstawienia faktów, a niejedna krótka i sucha informacja kryje w sobie cały dramat. Tak jest z fragmentami opisującymi bezład i chaos w mieście, tak jest z odnotowaniem działań niemieckiej dywersji (na telefoniczny rozkaz dywersanta zniszczono zapasy paliwa i karmy dla koni, dowódcą zaś jednego z batalionów broniących Zasania był agent hitlerowskiego wywiadu). Sądzić należy, że walki w rejonie Przemyśla we wrześniu 1939 r. stanowią początek publikacji prac tegoż autora, które dostarczą nam nowych wiadomości o przebiegu tragicznego września na naszej ziemi.

Trzeci tegoroczny numer „Wojskowego Przeglądu Historycznego" zawiera także interesujące artykuły o operacji łużyckiej 2 armii, dziejach KBW, walkach AL w powstaniu warszawskim, ruchu oporu w obozie oświęcimskim, akcji „Jędrusiów" na więzienie w Opatowie w 1943 r., pracę o organizacyjnych przekształceniach sił zbrojnych państw uczestników II wojny światowej, materiały o polsko-jugosłowiańskiej współpracy w walce z okupantem, o sytuacji we Francji w okresie tzw. rządu Vichy, wspomnienia o generale Karolu Świerczewskim i inne. Znajdziemy tu ponadto materiały archiwalne, dyskusyjne, recenzje i omówienia, kronikę, sprawozdania, materiały bibliograficzne do dziejów II wojny światowej oraz ciekawe listy do redakcji. W. Sz.

JÓZEF KOLBUSZ — prezes Zarządu Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Rys. JERZY SIENKIEWICZ

Uwagi o wyroku oświęcimskim

(Ciąg dalszy ze str. 2)

stem, mającym w jakiś sposób maskować generalną łagodność okazaną w sentencji skazanym. Jak dalece jest ta ścisłość podjęta w interesie prawa i prawdy tylko pozorem, zręcznie użytą maską dla ukrycia łagodności, świadczy orzeczenie dotyczące Hansa Starka, liczącego obecnie lat 44, a skazanego na 10 lat ośrodka poprawczego przewidzianego w systemie prawa niemieckiego dla młodocianych przestępców (Jugendstrafe). Sąd ustalił, że oskarżonemu udowodniono morderstwo w 40 wypadkach, a nadto uczestnictwo przy gazowaniu ludzi w dwu wypadkach. W pierwszym przypadku zginęło wedle ustaleń sądu 200 osób, w drugim co najmniej 100 osób. Oprócz tego zastrzelił on dwoje dzieci. Łącznie winien on jednak, zdaniem sądu, odpowiadać za morderstwo tylko... w 44 przypadkach, gdyż sąd — stosując swoistą matematykę — przyjmując nieżyciową w tym wypadku absurdalną konstrukcję, że 300 ofiar gazowania uznać należy tylko za... 2 wypadki morderstwa, a to ze „względu na jedność czynu w czasie i miejscu". Gdyby więc oskarżony Stark zagazował „w jednym czasie i miejscu" sto tysięcy ludzi, to wedle tej jurydycznej koncepcji odpowiadałby tylko za jeden przypadek... mordu.

Pozostańmy już przy przykładzie Starka, do którego zastosowano środek karny przewidziany dla młodocianych, pomimo przekroczenia przez niego 44 roku życia.

Dla uzasadnienia tego dziwoląga doprowadzono do absurdu z kolei stosowaną już wielokrotnie przez sądy NRF teorię o błądzącym sumieniu (Theorie vom irrenden Gewissen). Zdaniem sądu, urodzony w roku 1921 i wychowany w atmosferze adoracji dla zasad hitleryzmu, jako absolwent szkół esesowskich, gdzie go umieścił ojciec, nie był on w stanie rozpoznać zła.

„Rozkaz był dla niego decydujący i absolutnie wiążący. Nie mógł mieć wątpliwości sumienia. Odwrotnie — stwierdza sąd — brak sumienia i niemoralność stały się regułami jego nowej moralności rasy panów. Biegły doszedł do wniosku — że w stosunku do oskarżonego należy stosować łagodniejszą ocenę przewidzianą w art. 105 ustawy o nieletnich. Sąd przychyla się do tej opinii. Punkt ciężkości czynów oskarżonego dotyczy okresu przed ukończeniem przez niego 21 roku życia".

Przytoczone wyjątki uzasadnienia sądowego chyba dostatecznie charakteryzują taktykę sędziów, którzy w roli deklamujących świętoszków, pełnych udanego żaru fanatyków praworządności i litery prawa depczą elementarne poczucie sprawiedliwości.

Czy na tym tle dziwić jeszcze może, że zastępca komendanta obozu Rudolfa Hoessa — Robert Mulka skazany został na 14 lat więzienia, a Karol Hoecker, zastępca drugiego komendanta Ryszarda Baera, na 7 lat więzienia. Oskarżeni zaś Herbert Scherpe i Emil Hantel, sanitariusze uśmiercający ofiary zastrzykami fenolu, otrzymują jeden 4 1/2, a drugi 3 1/2 roku więzienia.

Górnolotne frazesy o ciężkiej roli sędziów w takich sprawach nie zagłuszą protestu zawiedzionej opinii publicznej. Nie wprowadzi też w błąd taktyka sądu uzasadniająca łagodność wobec zbrodniarzy hitlerowskich. Czy za tę taktykę odpowiedzialni są tylko sędziowie w tym państwie?...

zdarzenia tygodnia

11 bm. przybył na teren naszego województwa zespół artystyczny wrocławskiego kabaretu „Dymek z papierosa" pod kierownictwem Wojciecha Dzieduszyckiego, przedstawiający obecnie program pn. „Szumiały mu echa kawiarni".

11 bm. mieszkańcy Jasła, 12 bm. Przemyśla, 13 bm. Skopania i Tarnobrzega, 14 bm. Jarosławia, 15, 16 i 17 bm. Rzeszowa usłyszeli dawne szlagiery, które śpiewały gwiazdy polskich kabaretów i rewii Krakowa, Lwowa, Poznania i Warszawy.

* * *

Kabaret „Porfirion" Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych w Rzeszowie po powrocie z Czechosłowacji i kilkudniowych występach na terenie województwa rzeszowskiego, w dniu 14 bm. udał się do województwa łódzkiego. Będzie tam występował do końca bm. przedstawiając aktualny program pt. „Karuzela piosenki".

* * *

15 bm. w sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej na Pobitnem odbyła się próba generalna sztuki lalkowej E. Borysowej pt. „Teatr Papy Carla" w wykonaniu zespołu Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Kacperek". Przedstawienie reżyserował Stefan Stojakowski, scenografia Ireny Pikiel, muzyka Zbigniewa Jeżewskiego.

Jest to widowisko — zabawa nie tylko lalek na scenie, ale i dla młodej widowni, która przygląda się perypetiom drewnianej laleczki, u bohatera sztuki Buratina. Premiera przewidziana jest na listopad, o ile dyrekcja Teatru pokona stałe kłopoty ze zdobyciem sali widowiskowej. O kłopotach lokalowych tej placówki będziemy przypominać władzom przy każdej okazji.

* * *

W dniach 13 i 14 bm. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyślu wspólnie z Muzeum Ziemi Przemyskiej zorganizowało sesję naukową pt. „Przemyśl i ziemia przemyska w zaraniu dziejów".

W sesji wzięli m. in. udział prof. dr Witold Hensel z Warszawy, który wygłosił odczyt na temat początków państwa polskiego w świetle najnowszych badań i prof. dr Tadeusz Lewicki z Krakowa, który mówił o źródłach arabskich i hebrajskich do dziejów Przemyśla. Odczyty wygłosili również miejscowi naukowcy: doc. dr Franciszek Persowski, dr Aleksy Gilewicz, mgr Antoni Kunysz oraz mgr Józef Janowski z Krosna.

* * *

Muzeum Okręgowe w Rzeszowie systematycznie zmierza do udostępnienia zwiedzającym stałych ekspozycji w poszczególnych działach.

Ostatnio dział historyczno-artystyczny zorganizował stałą wystawę ukazującą pamiątki cechowe, judaika i wytwory cechowe, jak również portret XIX-wieczny i wytwory przemysłu artystycznego z tego okresu. Podkreślić należy, że eksponaty pochodzą z własnych zbiorów muzeum. Całość doskonale harmonizuje z zabytkowym wnętrzem bogato polichromowanej narożnej sali i krużganków, jak również z nowoczesnym sprzętem ekspozycyjnym, wykonanym przez krakowską Akademię Sztuk Pięknych.

* * *

Podobnie jak w ubiegłym roku Zarząd Okręgu Związku Zawodowego Metalowców w Rzeszowie wystąpił z inicjatywą zorganizowania w bm. przeglądu zespołów artystycznych pomyślanego jako występy dla załóg zakładów przemysłu elektromaszynowego woj. rzeszowskiego.

11 bm. zespół WSK w Dębicy wystąpił przed własną załogą. Na 16 bm. przewidziany jest występ zespołu Zakładów Wytwórczych Automatyki Przemysłowej z Przemyśla w Nowej Dębie. Program imprezy wypełni zespół gospodarzy. 18 bm. zespół estradowy rzeszowskiej WSK wystąpi przed załogą Zakładów Sprzętu Motoryzacyjnego w Sędziszowie. Planowany jest również występ zespołu z Sanockiej Fabryki Autobusów.

Przegląd zorganizowany został celem dokonania oceny działalności artystycznej zespołów.

WIDNOKRĄG odpowiada

E. M. — Podleszany (pow. Mielec): Wiersz „Rzeszowskie strony" nie zachwycił nas. Może lepiej spokojnie uczyć się dalej i nie tracić czasu na takie np. rymowanki: „miasta maleńkie jak plamki na mapie, z dala widać ktoś z walizą człapie", gdyż są to rymowanki bardzo prymitywne. No i trzeba by się również uporać z problemami ortograficznymi.

J. K. — Sanok: W Pana wierszach dużo dobrego, ale też i sporo złego. Przede wszystkim są zbyt zimne, zbyt wykoncypowane, brak im wzruszenia i polotu. Dotyczy to zwłaszcza wiersza „Kośba", który zaczyna się ładnie, a później zmienia się w wydumany i sztuczny montaż. Nie należy się obawiać prostoty i bezpośredniości w poezji, oczywiście pod warunkiem, że nie będą prowadzić do banału.

„Stały Czytelnik": Niestety, z „Ballady w ziemi mieleckiej" nie skorzystamy. Nie zajmujemy się również pośrednictwem w przekazywaniu wierszy do innych redakcji, dlatego nie spełnimy Pana prośby.

WŁODZIMIERZ LENARD

ZGUBNA NIEWIEDZA

— To tutaj — mówi dr Głębicki i otwiera drzwi izolatki. Na nasz widok wstaje z łóżka młody człowiek w niebieskiej pidżamie, raczej niski, krzepko jednak zbudowany, blondyn, o bladej cerze i brązowych oczach.

A więc to on tak bezmyślnie igrał ze śmiercią, własną i innych. Jak mogło do tego dojść? Kim jest ten człowiek, który ośmielił się wziąć do ręki i nosić przy sobie — śmiercionośny izotop. Wątpliwości, będące chyba kluczem do wyjaśnienia wydarzenia pątnowskiego, sprowadziły mnie do szpitala Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi.

Siedzi teraz przede mną ze spuszczoną głową, mizerny, szczupły, tylko kołysanie nogami świadczy o pewnym zdenerwowaniu.

— Całkiem tutaj przyjemnie — próbuję jakoś nawiązać rozmowę. — Ale pewnie się martwisz i chorobą, i tą całą sprawą.

W odpowiedzi potakuje, ale ja wiem z ust doktora Głębickiego, z którym rozmawiałem uprzednio na temat jego choroby, że przyczyna złego wyglądu jest zupełnie inna. Chudnięcie, to jeden ze skutków choroby popromiennej. Aby przeciwdziałać temu, jeszcze zresztą nie zakończonemu procesowi, chory dostaje specjalny zestaw wysokokalorycznych potraw, uzupełnionych różnymi witaminami. Innym skutkiem pochłoniętego promieniowania, niewidocznym dla oka, jest poważne wyjałowienie organizmu z bakterii. Organizm jest więc podatny na wszelkie infekcje, które mogłyby powodować duże komplikacje. Stąd ogranicza się jego kontakty z otoczeniem i dlatego w tej izolatce skazany jest ta samotność.

— Bardzo ci się nudzi, pewnie dużo czytasz?

— Nie tak dużo, nie mam na to czasu. Całe przedpołudnie mam zajęte na różne badania.

Przypominają mu one, że nie jest tutaj dla przyjemności. Najgorsze, jak dotąd, było pobieranie próbek szpiku z kości miednic i mostka: tu i tu — pokazuje i dodaje — bardzo bolało, bo przebijali się do kości „na żywca".

— A oparzenie — pytam, pamiętając, że nosił w kieszeni izotop, który spowodował oparzenie II stopnia.

— Trochę boli — odpowiada i odchyla rożek opatrunku, znajdujący się na górnej części uda. Spod opatrunku wyłania się szeroka, jak męska dłoń, brunatna plama, w środku zaś niej trzy żywe rany, jakby ktoś przyłożył rozpalone do białości żelazo.

— Aż trzy rany? — pytam.

— No tak — odpowiada — ponieważ izotop zmieniał swoje położenie, zależnie od tego czy stałem, czy siedziałem.

— Jak długo nosiłeś w kieszeni ten izotop?

— Chyba ze sześć godzin, potem wyrzuciłem go do lasu, kiedy zaczęła mnie w tym miejscu boleć noga, jakby mnie ktoś czymś twardym uderzył. (Doktor Głębicki nazwał ten ból silnym pulsowaniem).

Mówi o tym wszystkim spokojnie, ale gdy zaczyna opowiadać, jak wyjął pojemnik (coś w rodzaju grzybka), a z niego aluminiową, srebrzystą ampułkę i wysypał na rękę maleńką kuleczkę, właśnie iryd 192, wtedy mimo woli spogląda na dłoń, jakby tam były jeszcze jakieś ślady. Wtedy na jego bladych policzkach pojawia się nikły ślad rumieńca, a oczy mają wygląd przestraszonego dziecka. Teraz — gdy jest już świadomy skutków swojego przerażająco bezmyślnego czynu. Ale co czuł wtedy, gdy wlazł na 38-metrowe rusztowanie, gdy forsował dwa zamki i dobierał się do izotopu.

— Aleś sobie bracie nawarzył piwa — mówię — co cię do tego skusiło?

— Byłem ciekawy — jąka się — myślałem, że się na coś przyda.

— Co? Izotop, do czego?

— No ja — mówi z trudem — robię w domu różne takie rzeczy, trochę majsterkuję. Zrobiłem już odbiornik tranzystorowy, bo u nas we wsi nie ma światła.

— Z czego? — sonduję go jeszcze z niedowierzaniem.

— Części kupowałem w sklepach w Kole i w Koninie — w tym miejscu ożywia się i zaczyna sypać fachowymi terminami.

— Skąd się na tym znasz? — pytam i czuję pewną ulgę, bo majsterkowanie jest chyba jednak prawdą.

— Czytałem „Młodego Technika", „Horyzonty Techniki", serię „Zrób to sam" i inne takie broszury.

— I nic tam nie czytałeś o izotopach? Czy wiesz w ogóle, co to jest promieniotwórczość?

— Nie, nie czytałem i nic o tym nie wiem. Skąd mam wiedzieć, kiedy w szkole o tym nie uczyli. W tym roku ukończyłem 3-letnią Zasadniczą Szkołę Zawodową w Kole. A w Pątnowie robię dopiero od trzech miesięcy — wyjaśnia.

— No, to chyba uczyłeś się o promieniotwórczości na lekcjach fizyki?

— Tak, fizykę mieliśmy, ale nauczyciel nic o tym nie mówił — twierdzi stanowczo.

Czy to możliwe — przyglądam mu się znowu z niedowierzaniem. Natychmiast po powrocie do Warszawy sprawdzam w Ministerstwie Oświaty, czy program fizyki w szkołach tego typu przewiduje naukę o promieniotwórczości. Tak, przewiduje — słyszę w odpowiedzi. Mówi się o promieniotwórczości podczas wykładów o wybranych zagadnieniach fizyki współczesnej. Przeznacza się na to łącznie 8 godzin lekcyjnych.

Zdumiewające — tylko 8 godzin, za mało nawet, by się otrzeć o nowoczesną technikę. A ile z tego na promieniotwórczość: 45 minut, 20 minut? — a jeśli nauczycielowi braknie czasu, to chyba w ogóle pomija to zagadnienie. Przecież absolwent tej szkoły musi umieć przede wszystkim trzymać pilnik i młotek. Tylko to ma mu wystarczyć w przyszłym zawodzie. A w Pątnowie? Czy tam, gdzie setki robotników zderzają się po raz pierwszy z nową techniką, czy tam wyjaśnia się, z czym się oni stykają na co dzień?

— A co będziesz robił, gdy wyjdziesz ze szpitala? — pytam.

— Bo ja wiem — waha się — pójdę gdzieś robić. Chcę się uczyć języków — mówi to jednak bez przekonania i nagle dodaje: — Ale życia konkretnego to już nigdy nie będę miał — głos mu przy tym drży.

Pocieszam go na pożegnanie.

Nie odpowiada. Znowu leży na łóżku z odwróconą głową, jakoś dziwnie skurczony i bezradny.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa", Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 198 Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.